

PAULINA MOSKALIK

ALCHEMIA SZCZĘŚCIA

czyli jak zostać
ARCHITEKTEM SWEGO ŻYCIA

Wydawnictwo „Apricitas Flos“

*"W Tobie jest to, co chcesz.
W Tobie Niebo
i Piekiel męki w Tobie też;
Co wybierasz, masz wszędzie,
jeśli tylko chcesz.*

*Niebo jest w Tobie.
Powstrzymaj próżny bieg,
Bóg nie jest tam, gdzie sądzisz;
Gdy Niebo w Tobie trwa,
Ty wciąż dokoła błądzisz"*

Angelus Silesius
ze zbiorów alchemików

SPIS TREŚCI

<i>WSTĘP.....</i>	<i>str 4</i>
<i>KLUCZ DO ALCHEMII.....</i>	<i>str 12</i>
<i>CZY NAPRAWDĘ WIESZ, KIM JESTEŚ?!.....</i>	<i>str 22</i>
<i>PRAWO MENTALIZMU.....</i>	<i>str 48</i>
<i>PRAWO ZGODNOŚCI.....</i>	<i>str 69</i>
<i>PRAWO WIBRACJI.....</i>	<i>str 80</i>
<i>PRAWO BIEGUNOWOŚCI.....</i>	<i>str 95</i>
<i>PRAWO RYTMU.....</i>	<i>str 108</i>
<i>PRAWO PRZYCZYNY I SKUTKU.....</i>	<i>str 118</i>
<i>PRAWO RODZAJU.....</i>	<i>str 147</i>
<i>PODZIĘKOWANIA.....</i>	<i>str 170</i>
<i>LIST DO CZYTELNIKA.....</i>	<i>str 172</i>
<i>BIBLIOGRAFIA.....</i>	<i>str 174</i>

Wstęp

*"Powstań, Ty, który już straciłeś nadzieję
Powstań, Ty, który cierpisz.."
Jan Paweł II*

Drogi Czytelniku, w dłoniach trzymasz owoc mego olśnienia. Owo olśnienie nie przyszło w wyniku przeczytania wielu książek o rozwoju osobistym, nie zostało poprzedzone szkoleniami błyskotliwego trenera, nie jest też rezultatem uzyskania dyplomu renomowanej uczelni, ani certyfikatu coachera czy trenera NLP. Olśnienie jest owocem spotkań z ludźmi – kształtujących mój sposób postrzegania rzeczywistości.

Moi rodzice nigdy we mnie nie wierzyli. W ich oczach zawsze byłam kimś zupełnie innym, niż czułam się naprawdę. Usiłowali dopasować mnie do schematu, w którym się nie mieściłam. Czy próbowaliście kiedyś upchnąć coś bardzo dużego do bardzo małej walizki? W mojej rodzinie czułam się dokładnie tak, jak to bardzo duże „coś” upychane nieustannie do bardzo małej walizeczki, tak małej, że ta walizeczka musiała się w końcu rozpaść, a wszelkie schematy runąć pod ciężarem mojego wielkiego odkrycia własnej tożsamości.

Książka ta nawiązuje ściśle do nauk alchemicznych, ponieważ w przeszłych wcieleniach zgłębiałam alchemię, praktykowałam jogę oraz buddyzm zen. Mając za sobą wiele ścieżek duchowych inkarnując się tutaj musiałam jedynie przypomnieć sobie wszystko to, czego nauczyłam się w przeszłości. Co nie należało do łatwych zadań, wierzcie mi.

Częstkową wiedzę posiadałam już w dzieciństwie, lecz nie umiałam z niej korzystać. Wykorzystywanie znajomości praw alchemicznych do robienia psikusów nie świadczyło o mojej dojrzałości. Tak więc mój umysł dziecka musiał dojrzeć na tyle, by posiadana wiedza stanowić mogła fundament mądrości, nie zaś jedynie wysokozaawansowaną umiejętność wykorzystywania prastarych technik.

Odkrycie głębokiej empatii nastąpiło u mnie z chwilą pojawienia się pierwszych negatywnych skutków moich mentalnych praktyk. Bódcem do zmiany postawy okazały się łyzy nauczycielki języka polskiego w trzeciej klasie szkoły podstawowej, która nie mogąc dłużej zapanować nad niezrozumiałymi dla niej wybuchami śmiechu mojej klasy, zaczęła rzewnie płakać. Wtedy poznałam gorzki smak czyjegoś cierpienia i zaczęłam odczuwać empatię z otoczeniem. łyzy niewinnego człowieka spowodowały pojawienie się we mnie miłości do wszelkiego stworzenia i już nigdy potem nie odważyłam się naginać rzeczywistości w sposób mogący sprawić komukolwiek przykrość. Postanowiłam więc zaniechać korzystania z tych technik i nie korzystałam z nich przez następnych dziesięć lat – tak silne wrażenie wywarł na mnie płacz mojej nauczycielki.

Katalizatorami moich wewnętrznych przemian zawsze byli ludzie, spotykani we właściwym czasie i miejscu, czyli właśnie wtedy, gdy życie oczekiwało ode mnie działań i decyzji, przerastających mnie samą.

Pojawiali się dokładnie wtedy, gdy musiałam ewoluować, a wszystko wokół stawało się zbyt ciasne, by pomieścić moją pasję, marzenia i miłość. Mogę więc śmiało powiedzieć, że aniołów spotykałam na co dzień – pod ludzką postacią.

Kiedyś mój przyjaciel Sergiusz zapytał mnie, dlaczego zachwycam się innymi, a nie zauważam własnych zalet. I nie wiedziałam, co mam mu odpowiedzieć, bo przecież znam siebie samą najlepiej i doskonale wiem, jak wiele zalet posiadam.

Kiedy jednak spotykam drugiego Człowieka czuję się jak odkrywca nowej galaktyki, nowego skupiska gwiazd... ponieważ każdy człowiek posiada w sobie tysiące pouczających doświadczeń, miliony fascynujących myśli i miliardy uczuć wartych poznania. Nie ma dla mnie niczego bardziej odkrywczego od poznawania ludzi. Jak wiele jest w nich bogactw do znalezienia,

jak wiele zalet do odkrycia, jak wiele mądrości wynikających z popełnionych błędów. Wszyscy mamy takie skarby i powinniśmy wymieniać się swoją wiedzą, spostrzeżeniami, gdyż niemożliwym jest połknięcie Wszechświata jak tabletki od bólu duszy. Nie można ugasić głodu duchowego inaczej, niż poprzez doświadczanie życia i poznawanie skarbów tej planety.

Ludzie to gwiazdy, gwiazdy stąpające po ziemi, w których zawiera się potencjał boskiego stworzenia. Wystarczy tylko wyteńczyć uwagę i...

I tak poznałam Żanetę. Zaprzyjaźniłam się z nią i równocześnie z biblioteczką jej ojca, gdy miałam czternaście lat. Biblioteczka starego żeglarza była dla mnie tym samym, czym Fabryka Czekolady dla Charlie'go, tym czym Kraina Czarów dla Alicji i Tajemniczy Ogród dla Mary Lennox – pełna tajemnic skrywała tematykę filozoficzną i teologiczną, o jakiej mi się nie śniło. Żaneta, podobnie, jak jej ojciec, posiadała oszałamiający wgląd w naturę rzeczy. Fascynowała mnie jej zdolność do psychoanalizy, a jej ekscytujące spostrzeżenia budziły we mnie pasję, serce rozpalając chciwą ciekawością świata. Wraz z Żanetą spędzałyśmy godziny na analizowaniu prądów filozoficznych, dogmatów teologicznych i problemów społecznych. Córka żeglarza miała w sobie coś, czego nie miała żadna inna moja koleżanka...

Pasja, z jaką żyła Żaneta obudziła we mnie dziką energię, która poniosła mnie potem w świat szamańskiej wolności ducha... Żaneta zachwycała mnie równowagą pierwiastka męsko – żeńskiego. Uzyskała tytuł magisterski z „Historii Malarstwa”, gdyż jej największą uciechą wielu lat było malowanie graffiti. Pewnego dnia zabrała mnie na targowisko, obok którego znajdowała się wielka ściana na garażach. Przy niej zobaczyłam naszego wspólnego kolegę Damiana, który właśnie malował właśnie jakieś tajemnicze graffiti. Przyglądałyśmy się uważnie i byłyśmy naprawdę pod wrażeniem powstającego dzieła.

Okazało się, że nasz wspólny kolega Damian dostał w prezencie urodzinowym od przyjaciół wielką ścianę na garażach - do zamalowania spray'ami. Mógł tam namalować, co chciał, a był to niebagatelny podarunek z uwagi na to, iż malowanie graffiti bez zezwolenia w naszym kraju jest zabronione. Tak się złożyło, że Damian miał urodziny w tym samym czasie, kiedy Papież Polak - Jan Paweł II umierał w szpitalu watykańskim.

Nie ma wśród artystów ludzi niewrażliwych. Damian postanowił swoje graffiti poświęcić właśnie Papieżowi. Nie dlatego, że był wyjątkowo religiny, czy wierzący. Osoba Jana Pawła II zwyczajnie zainspirowała go do tworzenia...

Damian namalował więc na swej ogromnej urodzinowej ścianie postać Jana Pawła II, dzieło swe uzupełniając cytatem: „...*Musicie być mocni mocą miłości, która jest potężniejsza niż śmierć...*”. Po pewnym czasie jakaś starsza pani przyniosła znicz i ustawivszy go pod ścianą przeżegnała się, by pójść dalej. Później coraz więcej osób - tych starszych i tych młodszych - przynosiło znicze i ustawiało pod urodzinową ścianą Damiana. Zdecydowanie to było najwymowniejsze graffiti, jakie kiedykolwiek widziałam.

Trzeba przyznać, że Żaneta prowokowała swoją obecnością tworzenie się sytuacji przeradzających się w happeningi artystyczne. Pamiętam pewną noc, kiedy to wracałyśmy z Żanetą z koncertu hip-hopowego. Poznałyśmy wtedy szalenie zabawnego człowieka. Kiedy stałyśmy o trzeciej nad ranem posilając się przy budce z frytkami, podszedł do nas pewien mężczyzna. Popisywał się przed nami znajomością sztuk walki wyraźnie próbując wywrzeć na nas wrażenie. Spojrzałyśmy po sobie i obie zaczęłyśmy śmiać się, nie mogąc powstrzymać wybuchu radości z powodu komizmu sytuacji i wtedy on... rozplakał się. Wtedy Żaneta podała mu chustkę pełną kolorów, od jeszcze świeżych farb i wytarła mu łzy. Efekt był wyjątkowo artystyczny. I tak powstało jeszcze jedno dzieło sztuki...

Żaneta była moją przyjaciółką, która poza niewiarygodną wrażliwością artysty łączyła w sobie talent z inteligencją. Realizowała swoje marzenia jakby mimochodem, nie przywiązując się nigdy do siły pieniądza. W wieku dwudziestu trzech lat zaprojektowała witrynę jednej z najbardziej ekskluzywnych restauracji w centrum miasta. Wszystko, czego pragnęła dosłownie wpadało do jej rąk w taki sposób, jakby opanowanie sztuki wizualizacji miała zapisane w DNA. Na dodatek Żaneta

miała fantastycznego ojca, który podzielał moją pasję do zen i pozwalał mi wertować jego biblioteczkę do woli. Szczerze mówiąc bardzo tych ludzi pokochałam i traktowałam ich jak moją najbliższą rodzinę.

Moja druga przyjaciółka Milena również miała w domu bogatą biblioteczkę. Tyle, że Mileny zamiłowanie do poezji otwierało przede mną zupełnie inny świat - wrota do krainy uczuć i dzikich emocji w nas drzemiących. Jej wujek był malarzem. Pamiętam, gdy Milena pokazała mi obrazy, mające symbolizować ścieżki życiowe - jej właśnie i jej siostry Anety.

Każda z sióstr miała inny charakter i życie każdej z nich zupełnie inaczej wygląda obecnie. Obraz Mileny przedstawiał rwący potok, z dzikością pędzący wśród górskich dolin, zaś obraz Anety ukazywał spokojne i ciepłe jezioro, otoczone miłością drzew, przytulające nenufary wraz ze wszystkimi mieszkańcami jego głębin. I rzeczywiście każda z nich po latach zupełnie odmienną rolę w życiu obrała – może by rzec, iż głęboko zakorzenione wizualizacje malarza zapadły w ich podświadomość na lata.

W domu Mileny było wiele obrazów wujka. Mnie najbardziej zainteresował ten, który przedstawiał kobietę w szale uniesień, otoczonej przez płomienie ognia. A owa kobieta jak gdyby płonęła od tego ognia, rozpalającego jej serce, i nie mogąc już dłużej znieść pasji, wykrzywiła się w bólu. Niezwykle piękny obraz niezwykle zdolnego artysty przekazał mi naukę, że dorosłe życie niekoniecznie może być przyjemne, a nawet może być pełne bólu, kiedy kieruje nami pragnienie.

Tomek – nasz wspólny przyjaciel studiował teologię. Z zamiłowania do Boga przechowywał w swoim domu różne tłumaczenia Biblii, analizował problemy egzystencjalne i jak mało kto wiedział bardzo dużo o życiu kapłańskim. Marzeniem Tomka była posługa duszpasterska. Z pewnością chciał poświęcić swe życie Kościołowi. Był ministrantem przez wiele lat i całe jego życie kręciło się wokół spraw wiary i Boga.

Poszedłby do seminarium, gdyby w jego życiu nie pojawił się pewien film. Przez kolejne miesiące pod wpływem filmu „Stygmaty“ z pasją wertowaliśmy Apokryfy Nowego Testamentu doszukując się owych tajemniczych słów Jezusa Chrystusa: *„Nie szukajcie mnie w pałacach z drzewa i kamienia, podnieś kamień – ja tam będę, rozetnij drzewo – tam mnie znajdziesz“*.

Tomek poznawszy treść apokryfów odrzuconych przez Kościół, zdecydował się poświęcić dziennikarstwu jako piewca obiektywizmu i wolności przekonań, na zawsze porzuciwszy sztywne dogmaty wiary. Podjął współpracę na rzecz jednego z wydawnictw, gdzie zajmował się publicystyką. Niedługo potem wydał tomik poezji pod tytułem: *„Cynamonowe drzewa“*. Jego białe wiersze emanują słodczą dziecięcą delikatnością oraz mądrością dojrzałego mężczyzny.

Nigdy nie zapomnę wspólnie spędzonych z Mileną i Tomkiem wieczorów, podczas których rozważaliśmy owe dogmaty wiary, analizowaliśmy Biblię i chciwie zaspokajaliśmy głód wiedzy. Milena reprezentująca pogląd o ułomności Człowieczeństwa pod względem jego pragnień, przekonywała nas, że Człowiek zdaje się być daleki od ideału w dążeniu do Boga. Tomek nieporuszony wątpliwościami przyjaciółki wskazywał na fakt, iż Bóg jest stale obecny w życiu Człowieka i pomimo wszelkich ograniczeń nigdy nie przestaniemy pragnąć Bożej mądrości i miłości.

Zgodnie wówczas orzekliśmy, iż bez względu na poczynania Człowieka, Bóg zawsze jest przy nim i w jego sercu, stale wspierając go niezależnie od niedoskonałości bytu ludzkiego. Zgodziliśmy się również co do kwestii, iż jeśli tylko zadbamy o to, by czystą była zarówno zewnętrzna strona kielicha (czyli Człowieka w ciele) jak i wewnętrzna (czyli ludzka dusza) pozostaniemy w bliskiej relacji z Bogiem, którego tak wszyscy kochaliśmy.

Jestem przekonana, że moi przyjaciele reprezentowali tak głęboki poziom uduchowienia i wrażliwości, że aż trudno uwierzyć, iż czasem zachowywali się jak zwyczajne dzieci lub normalne nastolatki. Piękni, inteligentni i wrażliwi, ocytani i otwarci, wszechstronnie utalentowani i głęboko zanurzeni w sobie. Kochałam ich i zawsze będę ich kochać nawet wtedy, gdy czasem pobłądzą lub zapomną o tym, kim naprawdę są. Drodzy memu sercu - Aniołowie w ludzkich skórach.

Wreszcie wspomnę Agatę, która była bezpośrednim katalizatorem transformacji związanej z moim – jak to wówczas określiłam - przejściem ze stadium „larwy” do stadium „motyla”.

Agata była moją przyjaciółką z klasy. Najbardziej fascynował mnie blask Agaty. Pewność siebie i wysokie poczucie własnej wartości towarzyszyły Agacie na codzień, wpisane w jej tożsamość z taką samą siłą, z jaką w dzieciństwie zakodowano na siłę w moją tożsamość, niskie poczucie własnej wartości, brak wiary w siebie i smutek. Kiedy ona głęboko przeświadczona o następnym sukcesie zdobywała kolejne trofea - ja czułam coraz większą ciasnotę własnego bytu. Podziwiałam Agatę, uwielbiałam jej odwagę i radość, z jaką realizowała się w życiu. Była piękna, inteligentna i zdolna zawsze - nawet wtedy, gdy się myliła. W moim przypadku rodzice dostrzegali jedynie te momenty, gdy się myliłam, cała zaś reszta mojej wspaniałości zostawała pomijana przy każdej możliwej okazji.

Wówczas zrozumiałam, że bycie kochanym przez kogoś jest porównywalne do bycia obsypywanym światłem i skarbami, dzięki którym można potem świecić i błyszczeć w społeczeństwie jak najpiękniejszy klejnot. Pojęłam, że jedynym sposobem do przejścia w stan egzaltacji, jaki reprezentowała Agata, to pokochanie siebie z taką samą siłą, z jaką ją kochali rodzice. Uczęszczając na praktyki japońskiego soto zen poznałam fascynującą osobę, która nauczyła mnie jak wprowadzić w życie moje zamysły. Bez Barbary moja historia byłaby niepełna.

Barbara - fascynująca, czterdziestoletnia kobieta o niewiarygodnie błyszczących błękitnych oczach - była kolejną osobą w moim życiu, dzięki której mogłam wejść na wyższy szczebel świadomości w drodze do marzeń.

Pracowała jako nauczycielka języka polskiego w jednej ze szkół i skrywała pewien wyjątkowy dar. Był to dar jasnowidzenia, nabyty w zupełnie nieoczekiwanym momencie życia. Barbara pojawiła się właśnie w tym czasie, w którym potrzebowałam recepty na miłość własną. Pojawiła się nagle w moim życiu i oczarowała me serce światłem Dobra.

O ile Agata wywoływała we mnie w tajemniczy sposób przygnębienie, o tyle Barbara obdarowała mnie dobrodziejstwem miłości rodzicielskiej. Zapraszała mnie do swojego domu, gdzie uczyła mnie szalenie ciekawych rzeczy. Jako studentka kursów Silvy, doskonale знаła techniki wizualizacji. Uczyła mnie afirmować, dawała mi „prace domowe” w postaci czytania książki „Pokochaj siebie” Louise Hay oraz codziennej modlitwy w czytania Psalmu 23. Opowiadała o Bogu, jak o najlepszym przyjacielu, który zawsze gotów jest wesprzeć Człowieka na jego drodze do marzeń. Nauczyła mnie szacunku do siebie i miłości do animy, czyli pierwiastka żeńskiego egzystującego w mojej świadomości.

Była to najcudowniejsza osoba, jaką kiedykolwiek spotkałam. Dzięki niej wiedziałam już, jak ze sobą pracować, by pokochać tę wewnętrzną wygłodniałą „larwę”, którą się czułam.

Poświęciłam więc dwa miesiące wakacji na intensywną pracę nad sobą. Wstawałam o piątej rano i medytowałam w skupieniu. Codziennie biegałam, by wzmocnić poczucie siły. Afirmowałam, wyobrażając sobie siebie, jako ideał Człowieka. W moich wysiłkach stale wspierała mnie Barbara, zawsze uśmiechnięta i pełna wiary w moją przemianę.

W przeciągu dwóch miesięcy wakacji rozkwitłam. Stałam się kimś zupełnie nowym zgodnie z własnymi oczekiwaniami. Stałam się motylem, przeszłam fazę transformacji i poczułam, że mogę być kim zechcę i robić w życiu, co zechcę.

Wrześniowy powrót do szkoły był najbardziej emocjonującym momentem mojego życia. Wszyscy byli pod tak głębokim wrażeniem mojej przemiany wewnętrznej i zewnętrznej, że dosłownie nie poznawali mnie. Zaskakująco podniósł się mój poziom IQ, co udowodniły testy szkolne. Nie mogłam sama uwierzyć, że posiadam tak wysoki iloraz inteligencji. Wyobrażałam sobie, że Agata będzie mnie podziwiała tak, jak ja wcześniej podziwiałam ją i będę przez nią tak samo doceniana, jak ona przeze mnie.

I naprawdę byłaby tak wspaniała jak sądziłam, gdyby nie fakt, że w jej sercu tliła się trucizna zazdrości. Agata nie tolerowała konkurencji. Była zdolna zniechęcić każdego, kto pojawił się równie piękny i okazały w jej otoczeniu, co ona sama.

Nie było mowy o przyjaźni. Dokładnie w tej chwili, gdy dokonała się we mnie przemiana ołowiu w złoto, wszystkie dotychczasowe fundamenty mojego życia runęły.

I z chwilą, gdy dzięki Agacie zrozumiałam, że wystarczy wpatrzeć się we własne zalety, aby zacząć błyszczeć jak diament, moja przyjaciółka znenawidziła mnie i zostawiła mnie samą z tym blaskiem, nastawiając negatywnie całą klasę przeciwko mnie.

Niebezpieczny moment, w którym najlepszy przyjaciel zamienia się w zaciętego wroga był przyczyną mojego załamania. Nie mogłam pojąć, dlaczego w chwili, w której nareszcie pokochałam siebie, właśnie ona – osoba, którą najbardziej kochałam – mnie odrzuciła.

I nie ona jedna zresztą. W moim domu rodzinnym rozpętało się piekło. Poszło o to, że ojciec pewnego dnia zapytał mnie, o czym marzę. Zapytał mnie o to pierwszy i ostatni raz w moim życiu. Marzyłam o aparacie fotograficznym, profesjonalnej lustrzance, gdyż uwielbiałam fotografować niebo i kwiaty. I tata zabrał mnie do najdroższego sklepu w mieście, gdzie kupił wspianiały aparat: z makro obiektywem, z filtrami i całym sprzętem potrzebnym do realizacji mojej pasji. Matka dotychczas nerwowa i kłótliwa zamieniła się niemalże w macochę. Twierdziła, że wykorzystuję mojego ojca, że go naciagam na niepotrzebne wydatki. Nie rozumiałam, o co jej chodziło – przecież wizualizowałam sobie przez całe lato ten aparat, więc moje marzenie musiało się ziścić. Zasługiwałam na spełnianie marzeń, chciałam realizować pasję zatrzymywania piękna klatka po klatce i co najważniejsze – miałam do tego prawo.

Bo jak się okazało, właśnie posiadanie pasji zmieniło mnie nie do poznania. Kiedyś zapatrzona we własne wady, a dziś zapatrzona w otaczające mnie piękno, pozwoliłam mojemu sercu rozkwitnąć, jak nigdy wcześniej.

W szkole mnie doceniało. Miałam autorską wystawę fotografii, gdzie każdy mógł podziwiać moje prace i znalazłam dzięki temu wielu nowych przyjaciół. Wcześniej nikt nie zwracał na mnie uwagi, a teraz? Nagle wokół mnie zaroilo się od nowych przyjaciół, znajomych, fascynujących ludzi. Wszyscy chcieli mnie poznać, wszyscy stale gdzieś mnie zapraszali, stałam się duszą towarzystwa.

Ale ani mojej matce, ani Agacie się to nie podobało. Twierdziły, że wywyższam się nad nimi i manipuluję wszystkimi dookoła, uważały, że nie jestem sobą, nazywały mnie hipokrytką i uzurpatorką udającą kogoś, kim nie jestem.

A ja przecież byłam sobą bardziej niż kiedykolwiek wcześniej... One jednak nie potrafiły pogodzić się z tym, że ktoś, kto do tej pory miał świadomość larwy nagle przeobraził się w olśniewającego motyla. Już nie pasowałam do starego modelu rzeczywistości, do modelu ich rzeczywistości. Moja matka i najlepsza przyjaciółka akceptowały mnie wyłącznie w stadium larwy, pełną głodu miłości, pełną kompleksów i niepewności. Nie były w stanie mnie zaakceptować jako pięknej, szczęśliwej, zrealizowanej osoby. Agata więc z zapalem przekonywała wszystkich w szkole, że jestem fałszywa, że manipuluję ludźmi okłamując każdego. Było to oczywistym nonsensem, z którym ja nie chciało mi się walczyć. Matka zaś pierwszy raz wyrzuciła mnie z domu.

Miałam wtedy siedemnaście lat i nie bardzo wiedziałam, co mam ze sobą zrobić, gdzie się podziąć i jak sobie poradzić. Musiałam przerwać szkołę, gdyż nie byłam w stanie skupić się na nauce. Pomogły mi przyjaciółki: Kamila oraz Ania, znalazłam mieszkanie i zaczęłam pracować.

Usamodzielniałam się. Z rodzicami zerwałam kontakty. Nie mogłam na nich patrzeć po tym, jak matka wyrzuciła mnie z domu, a ojciec pozwolił na to w strachu przed jej oskarżeniami. Matka była gotowa posądzić go o najgorsze rzeczy za to, że kupił mi ten aparat. Szantażowała go, oskarżała, żądała, by konsultował z nią każdy zakup nie dlatego, że nie mieli pieniędzy, lecz by podkreślić swoją władzę rodzicielską nade mną. I nie obchodziło ich, że miałam autorską wystawę fotograficzną, że zdobyłam uznanie w szkole, że fotografie nieba i kwiatów wywołały tak pozytywne wrażenia...

Nie pasowałam do starego modelu i musiałam odejść z domu, gdyż moja matka na mój widok rzucała talerzami albo szarpała mnie za włosy gotowa je pociąć na strzępy, bylebym tylko zniknęła jej z oczu.

W moim domu rodzinnym nigdy nie było miłości i nikt nie wiedział, co to właściwie jest ta miłość. Było zbyt dużo zawiści, nienawiści i chciwości, by miłość miała tam cokolwiek do powiedzenia. Tam nikt niczego nie robił z miłości. Były obowiązki i żądania, były żądze i ich

konsekwencje, ale miłość... była czymś, na co w żadnym wypadku nie można było sobie pozwolić, gdyż oznaczała słabość. Okazywanie miłości i szczodrości było niezgodne z obowiązującymi normami społecznymi... Miłość interpretowano jako głupotę, której skutkiem była zależność i szansa na manipulowanie człowiekiem okazującym uczucia. Zarówno dziś, jak i wówczas taka interpretacja miłości była mi całkowicie obca.

Jednak nie załamalam się i nie powróciłam do starego schematu egzystencji w stadium larwy. Jak sądzisz Drogi Czytelniku, dlaczego nie powróciłam do domu płaszcząc się przed matką w poczuciu winy za miłość własną? Dlaczego nie prosiłam o przebaczenie za to, że odważyłam się wyjść poza ramy jej modelu rzeczywistości i pokochać siebie?... Dlaczego nie wystraszyłam się i nie cofnęłam ewolucji mojej świadomości za cenę komfortu?...

Stało się tak dlatego, ponieważ byłam już motylem... Już zdążyłam poznać gorzki posmak łez i rozczarowania, zasmakowałam braku domu i poczucia bezpieczeństwa, wiedziałam, czym jest miłość odrzucona, doświadczyłam skrajnego gniewu, skrajnego żalu, skrajnego pragnienia i... wyszłam ze „strefy komfortu“. Nie bałam się życia – nie miało czym mnie zaskoczyć i jedyne, co mogło się wydarzyć, to... szczęście. Skoro zasmakowałam tożsamości motyla – nigdy więcej za żadne skarby świata nie powróciłabym do mej tożsamości w stadium larwy. Nie było ceny, którą byłabym w stanie zapłacić za powrót do starego stereotypu. Agata niechcący nauczyła mnie miłości własnej. A Barbara pokazała, jak żyć dalej z tą miłością.

Nauczyłam się, że jestem piękna i z chwilą, gdy to pojęłam – stałam się piękna. Nauczyłam się, że jestem mądra i z chwilą, gdy to sobie uświadomiłam – stałam się mądra. Nauczyłam się, że jestem klejnotem i z chwilą, gdy to zrozumiałam – zabłysnęłam jak najpiękniejszy diament. Tak, jak kiedyś uczono mnie bycia larwą, tak teraz nauczono mnie jak być motylem i... stałam się motylem.

Drogi Czytelniku, nie musiałam się odchudzać, by być piękna. Nie potrzebowałam do ewolucji markowych ubrań z najwyższej półki, ani diet cudów. Nie musiałam łamać serc, by czuć się kochaną i szczęśliwą. Po prostu zwyczajnie pokochałam siebie, rozpoznałam w sobie piękno najwyższego wymiaru Człowieczeństwa, otwarłam serce, obiecałam kochać siebie tak bardzo, jak to tylko jest możliwe, niezależnie od tego, czy komuś się to podoba, czy też nie.

Wielu nam współczesnych zapomina, że Człowiek to coś więcej niż „futurał“ wyposażony w pięć zmysłów. Przywiązują więc UWAGĘ do przyozdabiania go, pyszną się jego formą, lecz nie zadają sobie nigdy pytania, czym jest ów „futurał“ zwany istotą ludzką?

Nie należałam do tego typu ludzi, którzy najcenniejsze, co posiadają – UWAGĘ – kierują na zewnątrz. Bycie „futurałem“ z pięcioma otworami dla zmysłów smaku, dotyku, węchu, słuchu i wzroku nie wystarczało mi nigdy. Kolorowe tabloidy i magazyny z celebrytami na okładkach nie dostarczały mi najważniejszych informacji o tym KIM JESTEM i CO STANOWI SENS MOJEGO ŻYCIA. Człowieczeństwo nie może oznaczać bowiem wchłaniania wszystkiego, co jest na zewnątrz, gdyż byłoby bezcelową egzystencją „futurału“ zamiast bycia zindywidualizowaną manifestacją boskości.

Człowieczeństwo oznacza stan kwitnącej róży. Kiedy pragniesz odkryć serce róży, musisz rozchyłać płatki bardzo powoli i delikatnie. Róże są tak piękne i oszałamiające, że należy wykazać wiele cierpliwości i szacunku dla nich, by odnaleźć ich serce. Im bliżej jesteś serca róży, tym woń kwiatu zdaje się być bardziej odurzająca, Efemeryczne piękno róży to nie tylko doskonałość jej formy, ale i fascynująca woń doprowadzająca zmysły do szału... Róża nie jest pięciomysłowym futurałem a jej fraktalne piękno nie kończy się na kilku płatkach, które widzisz na zewnątrz. Podobnie jest z Człowiekiem.

Już jesteś piękny Drogi Czytelniku. Już jesteś wspaniały. Nie potrzebujesz niczego więcej do szczęścia, aniżeli akceptacji i miłości dla swej duszy. Nie pozwól się opętać przekonaniom, że potrzebujesz stosu niepotrzebnych rzeczy, bez których nie staniesz się godzien szacunku i miłości. Nie pozwól nikomu ograbić się z tego, kim Bóg Cię uczynił.

Poznałam wielu ludzi, którzy wyolbrzymiając defekty swego ciała sami pozbawiali się szacunku i godności. Poznałam wielu ludzi, którzy wyolbrzymiając swoje problemy zaniżali wartość swej pomysłowości i wyobraźni. Życie ludzkie nie sprowadza się bowiem do pędu za zdobywaniem trofeów, gadżetów i uznania innych ludzi. Człowiek nie jest przedmiotem w tym świecie, lecz jest podmiotem skupiającym uwagę całego Wszechświata. Nawet jeśli jego ciało porównuję do futerału, to tylko dlatego, że skrywa on najpiękniejszy instrument jaki powstał z woli Najwyższego. Odkryj go Drogi Czytelniku a już nic nie będzie takie samo w Twoim życiu.

Przyjaciele często mówią mi, że wyczuwają ode mnie ciepło. Woń serca, wynikająca z życzliwości i szacunku do innych, z serdeczności i autentyczności, daleko przewyższającą ekspresję samej tylko formy. Starając się rozpoznawać to, co jest prawdziwe i w nas ludziach najpiękniejsze, sama staję się autentyczna. Człowieka, który jest efemeryczny niczym róża można odkrywać w nieskończoność, upajając się blaskiem jego duszy.

Róża, w której sercu znajduje się owoc upojenia – to coś zupełnie niepojętego dla przeciętności. Przejście w stan bycia motylem oznacza rozpoznanie w sobie efemerycznego piękna daleko przekraczającego stan bycia „ludzkim pudełkiem“. Jeśli świat zewnętrzny przyćmiewa Twoje wnętrze, to znaczy, że nie posiadasz jeszcze świadomości swego Człowieczeństwa w pełni. Słodycz róży, upajająca doskonałość formy i treści zarazem jest czymś, co można odkrywać w nieskończoność!

Drogi Czytelniku, pojawiwszy to - stałam się tym, czym pragnęłam być. Przemiana ołowianej świadomości w złotą zajęła mi dokładnie trzy miesiące, stało się to latem 2003 roku. Zdecydowałam, że pragnę na zawsze żyć własnym życiem, zamiast wikłać się w konflikty. Żyjąc życiem pięknego, wolnego motyla stałam się tak zaabsorbowana doświadczeniem błogostanu „TU i TERAZ“, że nie chciałam poświęcać najcenniejszych chwil mojej egzystencji na walkę z kimkolwiek. Tak więc mając 18-lat całkowicie się uniezależniłam.

Moja wielka przygoda rozpoczęła się właściwie od potrzeby podjęcia pracy, która pozwoliłaby na zaspokojenie podstawowych potrzeb życiowych. Musiałam pracować, by żyć, więc pracowałam. Każda moja kolejna praca była serią nowych doświadczeń i doskonałym sposobem na „testowanie rzeczywistości“. Mogłam nauczyć się rozróżniania ludzi, rozwijania umiejętności i nabierania pewności siebie. Po prostu dbałam o swoje dobro dzień po dniu, realizując krótkoterminowe cele i snując wielkie marzenia o przyszłości.

Żyłam z pasją. Stale otoczona ludźmi, których kochałam, stale wspierana przez przyjaciół mogłam swobodnie żyć bez lęku o przyszłość. Kiedy traciłam pracę natychmiast dostawałam następną. Nie musiałam się martwić o nic. Wizualizowałam, marzyłam i te sny stawały się rzeczywistością, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Trwało to zazwyczaj około sześciu miesięcy, zanim moje marzenia się spełniały. Później odkryłam, że okres inkubacyjny moich wizualizacji skrócił się do trzech miesięcy – w miarę, jak wzrastał u mnie poziom świadomości duchowej. Poznawałam różne ścieżki rozwoju, uczyłam się technik uzdrawiania Pranic Healing, dzięki którym mogłam świadomie pracować z energiami oraz kolorami. Grałam w serialach, byłam menadżerem marketingu ekskluzywnego klubu jazzowego, account managerem w agencjach reklamowych i wydawnictwach, coacherem, a nawet tłumaczem symboli heksagramów chińskiej Księgi Przemian I-Ching. Z taką inteligencją, jaka wybuchła we mnie tak nagle – czułam, że mogę przenosić góry... I przenosiłam je.

Życie w stadium larwy oraz życie z tożsamością motyla różni się od siebie niezmiernie. Motyle i larwy niewiele mają ze sobą wspólnego poza tym, że jedno jest przyszłością drugiego.

Każdy swoją przemianę przechodzi samodzielnie. Nie można przyspieszyć procesu przemiany u drugiej osoby bez jej świadomej decyzji o transformacji. Ona sama musiałaby tak bardzo zniechęcić się do siebie jako larwę, by wyewoluować do stadium motyla.

W tej książce opisałam osobiste doświadczenia wykorzystywania Praw Alchemii, prowadzące mnie do ewolucji świadomości... ze stadium wygłodniałej miłości larwy, aż po stadium

pełnego ekspresji motyla. Wszystkie wydarzenia opisane przeze mnie są prawdziwe, są to niezaprzeczalne fakty, choć część imion bohaterów moich historii została pozmieniana.

Czy czegokolwiek żałuję?...

Kiedy zastanawiam się, jak odpowiedzieć na to pytanie, przypominają mi się słowa Aleksandry Paprockiej-Nath, które pozwolę sobie zacytować:

***„Moim PRZEZNACZENIEM nie było znalezienie męża,
urodzenie dzieci i odniesienie SUKCESU w życiu.
Moim PRZEZNACZENIEM było wzniesienie się ponad PRZECIWIENSTWA”***

Jak mogę określić przyczynę moich przemian? Pragnieniem porzucenia ciała i tożsamości larwy na zawsze... Pragnieniem rozerwania kokonu EGOIZMU, który oddzielał mnie od innych ludzi. Potrzebą stania się świetlistym motylem pełnym miłości, radości i ekspresji... Namiętną miłością do siebie i ludzi, którzy inspirowali mnie do pozytywnych przemian wewnętrznych.

Dlatego napisałam tę książkę, ponieważ odsłaniając przed Tobą owo odkrycie, pomagając Ci stać się świetlistym i pięknym motylem – wznoszę ku Światłu jeszcze jedną cząstkę samej siebie. Wspierając CIEBIE – staję się bardziej ŚWIETLISTA, WIĘKSZA oraz SILNIEJSZA.

Ty i ja nie jesteśmy oddzieleni. Nie jesteśmy czymś zupełnie obcym sobie. Jesteśmy ŚWIATŁAMI – duszami tańczącymi BALET GWIAZD – stanowimy razem cudowną BOSKĄ KONSTELACJĘ WSZECHŚWIATA... Jesteśmy MUZYKĄ barw, fontanną MIŁOSIERDZIA.

Podaj mi swą dłoń i pozwól poprowadzić się ku BOSKIEMU ŚWIATŁU z ufnością i wiarą w Boga... Ten Bóg, który jest we mnie bardzo Cię kocha i pragnie jedynie TWEGO SZCZĘŚCIA!

KLUCZ DO ALCHEMII

**"PRAW PRAWDY jest SIEDEM;
ten, kto je ZNA rozumiejąc,
posiada MAGICZNY KLUCZ,
pod którego DOTYKIEM
wszystkie DRZWI Świątyni
stają OTWOREM"**

Kybalion

**PRAWO R Y T M U
PRAWO R O D Z A J U
PRAWO W I B R A C J I
PRAWO Z G O D N O Ś C I
PRAWO M E N T A L I Z M U
PRAWO B I E G U N O W O S C I
PRAWO P R Z Y C Z Y N Y I S K U T K U**